Nr. 3. i 4. We Lwowie dnia 1. Września 1872. Rocz. IX.



Wychodzi dwa razy na miesiąc.
Kosztuje:
rocznie . . 4 złr. 40 ct.
dla szkółek 3 „ 30 „
(Wrazie zwiększenia liczby prenum. 3 razy na miesiąc.)
Adres Lwów Nr. 35⁴/₄.

OPIEKUN DZIECI NASZYCH.

Dawne roczniki od I. do VII. razem 13 złr., i każdy pojedyńczo dla szkółek ¹/₃ mniej, tudzież wszystkie książki dla dzieci w polskim i francuskim języku dostanie w adm. „Opiekuna.“

Powrót z wakacji.

Przed sześcioma tygodniami przesłałem wam kilka rad, jak macie postępować, aby wolny od zatrudnień szkolnych przeciąg czasu i przyjemnie i korzystnie przepędzić; a odebrawszy od kilku z was listy zapewniające, iż z rad tych moich korzystać nie omieszkacie, cieszę się niewymownie, iż ziarno rzuciłem na urodzajną glebę, bo z tego posiewu — jak się sami przekonacie — dorodne niebawem żniwo zbierać będziecie.

Dziś nadszedł czas powrotu w mury szkolne, już minęły wakacje, i znowu zabieracie się do pracy naukowej, która Ojczyźnie waszej, rodzicom waszym i wam korzyść i szczęście przynieść ma w udziale! O jakże ważną jest dla każdego z was ta uroczysta chwila, w której po solennem nabożeństwie znowu wstąpicie do izb szkolnych, w której rozpoczniecie siejbę doroczną! A jak pracowity i przezorny rolnik zaraz z pierwszym pojawem wiosny wychodzi na rolę i jak najstaranniej takową uprawić usiłuje, by mu żniwa hojnym plonem wynadgrodziły trud i pracę podjętą; tak i wy drodzy moi, starajcie się zaraz od pierwszego dnia nie uronić ani jednej godzinki drogiego czasu przeznaczonego do nauki, bo to czas siejby waszej wiosennej. Jeżeli i najdorodniejsze ziarna padną na rolę pustą i kamienistą, starannie nie uprawną, to w czasie żniwa miasto bujnych, ziarnopełnych kłosów, chwasty i zielska uginać się będą na łanie pod powiewem wiatru, a rolnik będzie miał pustki w stodole i spichlerzu. Tak też podobnie i z siejbą nauki. Jeżeli dorodne ziarna nauki nie przyjmą, nie zakorzenią się w waszym umyśle i sercu, to zamiast szczęścia i pociechy dla siebie i drugich, zebralibyście w czasie żniwa, które przez całe wasze życie trwać będzie, nic więcej jak nędzę, smutek i wyrzuty sumienia za utraconym czasem wiosny życia waszego.

A jak rolnikowi do starownej uprawy potrzeba koniecznie dobrego pługa, bron, silnych koni lub wołów, a przytem wytrwałości i obznajomienia z potrzebami swej roli; tak wam, rolnicy nauk i umiejętności, do osiągnięcia celu i plonów potrzeba nieodzownie: *wytrwałej pilności, nieprzerwanej uwagi a wreszcie zupełnego poddania się przepisom szkolnym i wymogom waszych nauczy-*

cieli. Tak postępując zyskacie sobie już teraz szacunek i miłość u starszych, a na późniejsze lata życia uścielecie sobie gniazdeczko spokojne i miłe, bo własną zasługą i pracą uwite.

Nie przeczę, iż przykro może nie jednemu z was porzucać dom rodzicielski, stracić na czas jakiś z oczu ukochaną twarz matki, ojca i siostrzyczek, opuścić te wszystkie pamiętne miejsca, po których noga wasza dziecięcia z taką lubością stąpała, i nie dziwię się temu, wszak i dorosłemu człowiekowi zakręci się łza w oku, gdy opuszcza strony rodzinne, gdy się rozstaje z drogiemi sercu osobami; ale znowu myśl, że to serce i oko matczyne, w którem tyle dla was miłości, czuwać i w dali będzie ciągle nad wami, powinno smutek wasz ukoić, i dodać nawet więcej otuchy do pracy i nauki, dla której to jedynie i drodzy wasi rodzice się zwami rozstają.

Aleć bo i w szkole samotnymi nie będziecie! Młodzi towarzysze wasi, z tym samym celem w sercu co i wy, otworzą dla was swoje ramiona do uścisku bratniego, obdarzą przyjaźną miłością, a nie jeden z nauczycieli, co wyglądał niecierpliwie chwili, w której powita miłą mu twarz ukochanego ucznia, wyciągnie ku wam serdeczną dłoń i po ojcowsku przygarnie do serca. W murach szkolnych — zda się poważnie posępnych na pozór — znajdziecie więc życie, rodzinę; znajdziecie rodziców i rodzeństwo; a przytem przy pilności i wytrwałości, szybkim krokiem podążycie do zdobycia sobie na później własnej rodziny i niezależności, tych nieocenionych skarbów, jakie wam nauka i wiedza w nadgrodę przyniosą.

A więc śmiało i wytrwale do pracy młodzi przyjaciele, do tej pracy, która wam obecnie zadowolnienie, a na długie późniejsze lata chwałę i pożytek przyniesie w udziale! Wreszcie większej zachęty do tej pracy nie macie nad tę, iż obecnie wszyscy bardziej niż kiedykolwiek oczy mają zwrócone na was młodzi, bo jedynie tylko z waszej pracy i owoców tejże, może dla nas lepsza nastąpi przyszłość. Przez sto lat upadku i niewoli naszej Ojczyzny przekonali się wszyscy, że tylko nauka i szlachetność serca uszczęśliwić może pojedyńczego człowieka, a tem samem i cały naród. Podczas tej stuletniej niewoli, w czasie tylu cierpień, tylu klęsk, tylu znęcań na narodzie naszym dokonanych, nie było często i czasu i ochoty do pracy, bo nieraz zamiast pracować musieliśmy łzy ronić lub takowe ocierać, a więc zaniedbano niejedno, wiele sposobności utracono, a znowu i nie pozwalano nam pracować tak, jak tego korzyść nasza wymagała. Obecnie jeżeli nie więcej, to przyznać nam musiano prawo do bytu i życia. Otworzono nam skarbnice wiedzy, z których czerpiąc wytrwale, czy prędzej czy później odzyskamy dobro przed stu laty utracone.

Pamiętajcie młodzi, iż rok bieżący jest 100 letnią rocznicą pierwszego rozbioru naszej Ojczyzny, która nie dla tego upadła, że nie miała dla swych synów dosyć chleba, soli i żelaza; lecz iż jej synowie nie posiadali dosyć wiedzy do dobrego gospodarowania temi zbyt obfitemi swemi skarbami.

A. K.

Praca i nauka.

Dwa są skarby na ziemi najdroższe dla ludzi,
O które niechaj każdy stara się i trudzi:
Niechaj ich wczas za młodu wynajdzie dla siebie,
I nigdy, póki życia i siły, nie grzebie.
Z niemi idąc szczęśliwą będzie życia droga,
Dla dobrych ludzi miła, i miła dla Boga;
Tych skarbów drogie dziatki niech zważ każdy szuka:
A niemi są najdroższi: *„praca i nauka.“*
Złoto — pyszne pałace i kosztowne stroje,
To wszystko można nabyć, lecz jest jak nie swoje;
Lada igraszka losu, wydrze to co mamy,
A nauki i pracy moc w duszy chowamy.
Tych skarbów nie zabierze nic — nie zginą zgoła;
Póki Bóg po nadgrodę za nie nie powoła.

KAZIMIERZ BRODZIŃSKI.

A kiedy się rozśmieje, to jak za pokutę,
A kiedy będę śpiewał, to na smutną nutę.
A. Malczewski.

I śpiewał smutno Brodziński, rzewnym tęsknoty głosem, i śmiał się łzami, a dźwięk jego lutni odbił się w każdej piersi, której nie złamała boleść lub nie objęła obojętność. Śpiew jego płynie do duszy — nadzieją i ciepłem wiary ją zalewając — bo śpiewak czerpał natchnienie na łanach rodzinnych, wśród gajów i łąk ojczystych, bo tę pieśń podsłuchał w sercach ludu naszego, który jeden tylko przechował w całej pełni i świeżości nastrój nuty ojczystej.

Otóż o tym naszym ojczystym, serdecznym śpiewaku, o tym rzewnym polskim słowiku, opowiem wam słów parę i zaznajomię was z życiem jego, przedewszystkiem opiszę wam lata jego dziecinne.

Kazimierz Brodziński sam skreślił swój życiorys: *„Wspomnienia swojej młodości“*, otóż na podstawie tych wspomnień i ja moją pracę osnuję.

We wsi Królówce, należącej wówczas do starostwa Lipnickiego, a położonej w Galicji, w dzisiejszym obwodzie bocheńskim, dnia 8. marca 1791

urodziło się dziecię płci męskiej, któremu na chrzcie świętym dano imię Kazimierz. Rodzicami tego dziecka byli: Jakób Brodziński, najprzód pełnomocnik starosty Fryderyka Moszyńskiego, a następnie dzierżawca starostwa Lipnickiego, i Franciszka z Radzikowskich Brodzińska. Młody Kazimierz nie pod szczęśliwą przyszedł na ten świat gwiazdą, a nad kolebką jego, czarne unosiły się wróżby i smutne dopełniały się wypadki. Długi czas słabowitemu dziecku lekarze nie wróżyli zdrowia; a zaledwie pięciu lat dobiegło, umarła mu matka. Wypadek ten tak później sam Kazimierz w „*Wspomnieniach swojej młodości*“ opowiada: „Matki mojej wcale nie pamiętam; miałem pięć lat, gdy mię odumarła. Jedyna scena, którą z dziecinnych lat moich pamiętam, jest pogrzeb mojej matki. Jej postać w trumnie, aż do ubioru, do katafalku, na którym złożoną była i do pieśni, które nad jej ciałem ubodzy przez 2 dni śpiewali, pamiętam jakby wczorajsze zdarzenie, równie jak przepowiednią księdza, który wtenczas do nas powiedział: „Dzieci! będzie was biła macocha!“ Przepowiednie lekarskie późno, bo w 40 z górą lat, na Kazimierzu się spełniły, ale na spełnienie przepowiedni księdza nie trzeba było czekać tak długo. Ojciec Kazimierza, człowiek starej daty, gospodarz całą gębą, prawy, rzetelny, dla poddanych sprawiedliwy i dobry, ale nieposiadający wyższego wykształcenia i zbyt delikatnego uczucia, nie zastanawiający się zbyt skrupulatnie nad przyszłością swoich dzieci, a przy dużem gospodarstwie czujący potrzebę gospodyni, nie długo jakoś po śmierci pierwszej żony, ożenił się powtórnie z ubogą, a jak się zdawało potulną i łagodną jak anioł panienką. Ale niebawem po ślubie anioł pokazał rogi, i cichy dotąd dom starego Brodzińskiego w piekło zamienił. Z czasem złe coraz bardziej rosło. „W przeciągu kilkunastu lat — pisze znów Kazimierz o swej macosze, w swoich „*Wspomnieniach*“, stała się postrachem nietylko domu, ale całej wsi i okolicznych sąsiadów. Można sobie wystawić, jak taka macocha obchodziła się z pasierbami; a było ich pięcioro: czterech chłopców i jedno dziewczę, najstarsze. Z braci Kazimierza znane nam są tylko losy i imię jednego Andrzeja, który dał się poznać piórem i szablą. Andrzej, starszy od Kazimierza, wcześniej oddany do szkół, a następnie do Krakowa i Lwowa, nie tak długo doznawał macoszynej ręki.



Pomnik K. Brodzińskiego w kościele Wizytek w Warszawie.

Córkę stary Brodziński wcześnie odesłał z domu do krewnych. Kazimierzowi dostało się najdłużej używać rozkoszy rodzinnego pożycia. Szczęściem dla niego, macocha, byle jej się dzieci nie nawijały na oczy, miała ten chwalebny zwyczaj, że nie zapytała się nawet, czy żyją i co się z niemi dzieje. Korzystając z tego Kazimierz, najprzód z braćmi, potem sam całe dnie spędzał za domem: w polu, w lesie lub na wsi, gdzie bawił się z chłopakami wiejskiemi, i gdzie wiejskie kobiety, pamiętne dobroci nieboszczki matki, nieraz nakarmiły zgłodniałe po całych dniach sieroty. Ojciec, jak już powiedzieliśmy, człowiek poczciwy ale niezbyt czuły, nie troszczył się też wiele o dzieci, a może nie widząc ich cały dzień i cieszył się, że uchodzą macoszynego oka. Pod taką to opieką, wśród takich stosunków i okoliczności, spłynęła pierwsza młodość Kazimierza.

Jednym z głównych wpływów, pod któremi rozwijały się pierwiastkowo umysł i serce Kazimierza, była wygórowana miłość jego do matki, którą tem mocniej kochał, że jej nie znał, za której pieszczotami tęsknił całe życie, której postać, niby anioł stróż, unosiła się nad nim w pośród marzeń i snów dziecięcych, i później w chwilach ciężkiej walki z życiem i losem, nieraz zbolałą duszę jego, anielskiemi uspokojenia otulała skrzydły. Posłuchajmy znów, jak sam Brodziński pojmował i czuł tę miłość: „W późniejszych czasach służące i kobiety wiejskie wiele mi o dobroci mej matki opowiadały, co najwięcej słuchać lubiłem i im jedy-

nie winienem to przywiązanie do niej, z którem zdaje mi się dotąd, że żyję. W najsmutniejszych wypadkach późniejszej młodości mojej, zawsze się do niej jako do patronki modliłem. Jej postać umarła, którą jedynie pamiętam, zawsze mi pamiętne i pełne uszanowania czyni wrażenie... Miałem jeden sen o niej, który żywem uczuciem mnie przejął. Byłem w wielkim kościele, gdzie ona na chórze, w ubiorze w jakim złożona była w trumnie, wśród tłumu podobnych jej bladych niewiast, mnie ręką do siebie wzywała. Wnet znalazłem się na chórze, a uściski jej dziwną upoiły mię rozkoszą, gdy nagle ogromny głos od ołtarza *Requiescat in pace*, który długo brzmiał w moich uszach, sen mój zakończył. W dziecinnym bardzo wieku napisałem elegją do cieniów mojej matki, której wcale nie pamiętam, ale wiem, że ją płacząc pisałem, i w nocy, na oknie, tylko przy świetle księżyca. Brat mój Andrzej, zawsze mi to pismo moje wychwalał. Nie wiem czy kto, choćby najtkliwszej miłości macierzyńskiej doznawał, mocniej czuł co to jest matka. Imię matki od lat najmłodszych, było dla mnie świętem nazwiskiem. Widok moich współuczniów i później młodzieńców przy matkach, napełniał mię rzewnem uczuciem. Nie mogłem się utulić ze smutku, który się cisnął w me serce, gdym widział lub słyszał wyrazy troskliwości i przywiązania macierzyńskiego. Nie tylko dla matek, ale i dla współuczniów moich, których obok matek widziałem, miałem jakowyś dziwny rodzaj uszanowania. Uważałem synów mających matki, choćby daleko uboższych odemnie, za jakoweś wyższe, do szczęścia od natury przeznaczone istoty. Kochałem ich więcej dla tego, że ich matki kochały. Wiele samotnych, nikomu nie znanych łez mię kosztowało, gdym widział dziecię od matki obcałowane. Może to było dziecinne, przesadzone uczucie, ale je pojmie ten, kto lat dojrzalszych doszedłszy, nie zna co to jest uścisk rodzicielski. Pragnąłem zawsze i mniemałem w sercu, że zasługuję na miłość u kogoś, ale do późnych lat żadnej nie doświadczyłem. Nie mieć matki, która jedynie wychowanie serca dać może, nie mieć istoty, przed którą możnaby się szczerze ze wszystkiemi dziecinnemi fraszkami, z owemi pierwszemi uczuciami wywnętrzyć, to jest, co nam najwięcej nadaje owo czucie w sobie samym się trawiące, ową nieśmiałość do ludzi, a najbardziej niebaczność na swoje postępowanie, od dobrych nałogów, wrażeń i przykładów zacząwszy. Do dziś dnia czuję to w sobie, i gdybym dziś jeszcze znalazł taką istotę, ręczę, że powierzyłbym jej wszystko jak dziecię, we wszystkiem byłbym jej posłuszny. Każda kobieta tytułem matki ozdobna, ma odemnie jakąś część miłości synowskiej. Zdaje mi się, że człowieka jest potrzebą, aby kochał swą matkę; że kto jej niema, upatruje ją wszędzie i we wszystkiem chce ją sobie nagradzać. Do znanej matki tęsknimy w całem życiu jak do ziemi, na której się życie nasze rozwijać zaczęło; o nieznanej marzymy jak o raju lub o świecie obiecanym i nagradzamy ją sobie, tworząc o niej jak najdoskonalsze wyobrażenia. *Wspomnienia*, z których podajemy te wyjątki, pisał Brodziński na dwa lata przed śmiercią.

W siódmym mniej więcej roku życia zaczęto Kazimierza posyłać do szkółki elementarnej w miasteczku Lipnicy. Co to była za szkoła, można mieć ztąd wyobrażenie, że po czteroletnich w niej studjach, jedenastoletni już chłopiec, zaledwie umiał trochę czytać i pisać po polsku i po niemiecku.

Po czterech latach takiej nauki, posłał wreszcie ojciec Kazimierza do szkół do Tarnowa, gdzie było wówczas gimnazjum o 5-ciu klasach. Tam przebył ze dwa lata wraz z bratem Andrzejem, a gdy ten ukończywszy gimnazjum, udawał się na uniwersytet do Krakowa, posłano wraz z nim i Kazimierza. W Krakowie szło zrazu jako tako; ale niebawem nadeszła wiadomość o śmierci Brodzińskiego, a jednocześnie z nią ustały wszelkie zasiłki nadsyłane z domu. Chłopcy pozostali bez wszelkiego funduszu. Andrzej zaczął pisywać u adwokata i dzielił się z młodszym bratem zarobkiem, który atoli dla jednego nawet nie był wystarczającym. Widząc to Kazimierz i nie chcąc bratu być ciężarem, postanowił cichaczem wynieść się z Krakowa, i niezważając co go spotkać może, udać się do macochy, co też rzeczywiście i wykonał. Macochy nie zastał już w Lipnicy; po śmierci męża wyniosła się ona do Rajbroda, gdzie zadzierżawiła plebanię. Złamana widać i upokorzona utratą fortuny, która za życia Brodzińskiego zdawała się być, a nawet może i rzeczywiście była dość znaczną, ale której po śmierci jego kobieta taka jak ona, bez przyjaciół, bez doradzców, nie zdołała uratować przed drapieżnością ludzi czyhających na podobne okazje, macocha przyjęła Kazimierza lepiej niż się spodziewał. Nie zajęła się wprawdzie jego losem, ale nie wypchnęła go od siebie, i owszem dozwoliła mu przytułku u siebie, dopóki urzędownie ustanowiona opieka coś względem niego nie rozporządzi. Pobyt ten swój u macochy tak znów opisuje Kazimierz w swoich *Wspomnieniach:*

(Ciąg dal. nast.)

WYRODEK.

Powiastka z prawdziwego zdarzenia.

(Ciąg dalszy).

Lecz i na tem jeszcze nie koniec. Znarowiwszy się na zwierzętach i na martwych przedmiotach, nasz *Wyrodek* w podobnyż sposób i z ludźmi się bawić próbował. Sługom się przekomarzał raz po raz, i ciągle im psoty wyrządzał, dobierając zwykle najboleśniejszych i najszkodliwszych, niemniej i rówieśnikom swoim, dzieciom sąsiadów, co doń przyjeżdżały czasem w gościnę. Każda jego zabawa z niemi była ciągiem samych przykrości i udręczeń najrozmaitszych, bo mu najmilej było, kiedy którego ukłuł, uszczypnął, wtrącił w błoto, sparzył pokrzywą, lub mu oczy piaskiem zasypał, lub sukienkę podarł lub splamił, lub też cacko ulubione zepsuł; jednem słowem: gdy je czemkolwiek przyprawił o zmartwienie, doprowadził do gniewu a nawet i do płaczu. Wtedy był najszczęśliwszym, klaskał w ręce, śmiał się i skakał, z radości się nie posiadając! Dość było głośny jego chichot posłyszeć, aby być przekonanym, że już się komuś dał we znaki, że już spłatał jakiegoś figla, na ból lub stratę kogoś naraził.

Ma się rozumieć, że przez takie postępowanie coraz to bardziej wszystkich serca odstręczał. Słudzy się doń tylko z musu zbliżali, bez uśmiechu, bez uprzejmego słowa, bez tej skwapliwości serdecznej i dobrej woli, z jaką biedz zwykli na skinienie poczciwych dzieci, odgadując i uprzedzając zachcianki ich nawet kapryśne. Rówieśnicy przestali u niego bywać, a gdy on sam do nich przyjeżdżał, to albo się kryli przed nim, albo uparcie trzymali się boku rodziców, bojąc się już nietylko w podwórze, lecz nawet do drugiego pokoju na zabawę z nim się wychylić. Podobnież i zwierzęta i co tylko żyło w jego domu, dojrzawszy go ledwie z daleka, z drogi mu umykało w popłochu, od psów i kotów aż do wróbli, a nawet zdawało się, że każdy kwiatek, każda trawka na jego ścieżce, drżały i więdły z trwogi! W gościnie, byle gdzie próg tylko przestąpił, pieski pokojowe zajadle ujadały nań bez ustanku, jak na oprawcę, koty gniewnie mruczały, jeżąc grzbiety i kręcąc ogonami, kanarki nawet w klatkach miotały się biedne trwożliwie, świerkając wciąż żałośnie, jakby im czuć było od niego krew pomordowanych leśnych im braci!

Cóż to za boleść była dla nieszczęśliwych jego rodziców! jakże się frasował ojciec poczciwy, jak płakała matka nieboga! Jakże wymownie przedstawiali mu skutki grzesznej jego lekkomyślności! jakże starali się opamiętać go jeszcze w porę, dowodząc mu, że gdy zawczasu charakteru swego nie zmieni, to wyrosłszy i w świat wyszedłszy, nie znajdzie ani jednej duszy życzliwej, bo wszyscy, jak od dżumy, stronić od niego będą, lub płacąc mu wet za wet, w prawdziwe dlań piekło życie zamienią. Ale, niestety, czułe te i rozsądne przestrogi, poparte nawet przykładami oczywistemi, na nic się jak po dawnemu nie zdały. Odstręczenie się ludzi, uciekanie albo zajadłość zwierząt, co mu rodzice wskazywali jako pobudkę do innego postępowania, nie dość że go niepoprawiały, lecz jeszcze rozdrażniając, coraz to bardziej jeszcze większym go niegodziwcem czyniły, bo nareszcie nie ze swawoli, lecz już ze złości, nie ze śmiechem a z zajadłością, nie dla zabawy, lecz przez zemstę ohydną, jeszcze wymyślniej i ludziom i zwierzętom dokuczał. A stał się tak przezornym, upartym i zaciętym, iż nigdy w niczem niczyjej nie usłuchał przestrogi ani prośby, lecz owszem tyle tylko zmiarkował, że się komuś coś nie podoba, że mu coś za złe mają, że chcą go powściągnąć od jakiej psoty, to choćby był to pierwej zrobił bez celu, powtarzał już z umysłu, i choćby sam na tem ucierpiał, choć w wodę miał pójść lub w ogień, gotów się był rzucić na oślep, aby tylko na przekor wszystkim utrzymać się przy swojem, a czem bardziej się sprzeciwiano, czem bardziej się martwiono lub gniewano, tym on w większą zapamiętałość wpadał!

Rodzice, wyczerpawszy wszelkie perswazje, wszelkie upomnienia łagodne, widząc, że ich jedynak, wypieszczony i wykochany, śliczny, zręczny i zdolny, postawiony w takich warunkach, iż mógłby w każdym względzie dla nich na pociechę i chlubę, a światu na pożytek się kształcić, kierował się na okrutnika, na drapieżną jakąś poczwarę, zakałę i wyrzutka ludzkości, postanowili wreszcie ostatecznych chwycić się środków, i srogą karą zastąpili próżne morały, sądząc, że go w ten sposób pohamują w dzikich zapędach, wiodących do pewnej zguby.

Ale snadź już zupełnie Bóg się od dziecięcia tego odwrócił i łaskę mu swoją odebrał. Kary, równie jak i przestrogi i gorzkie łzy matczyne, ten jedynie skutek odniosły, że nasz *Wyrodek* złość swą do ostatnich granic posunął, i (ze zgrozą o tem wspominam) jeśli go ukarano na przykład za męczarnię jakiej istoty, to ten nędznik później ją zabił, a przynajmniej ciężko skaleczył. Jeśli za służącego albo rówieśnika wziął dobre cięgi, to przy pierwszej lepszej zręczności taką mu przez zemstę psotę wyrządził, za jaką człek dojrzały, pod sąd kryminalny byłby oddany!

A gdy coraz to częściej wznawiały się sceny podobne, to wreszcie już i rodzice, którym chłopak ten zatruł życie, widząc w nim dopust Boży, narzędzie strasznej próby czy kary, nabrali doń takiej odrazy, takiem rozżaleniem gorzkiem przejęli, iż ojciec, chcąc położyć koniec ciągłym strapieniom, umyślił raz na zawsze z nim się rozprawić: wywieść go w obce kraje, oddać do jakiego domu poprawy, i starać się nawet zapomnieć, że miał dziecię takie wyrodne, a nieszczęśliwa matka, w boleści graniczącej z rozpaczą, o to już tylko modliła się do Boga, aby jeśli ten chłopak ma wyrość na zbrodniarza, na plagę społeczeństwa i na hańbę swojego rodu, co rychlej zabrał go ze świata. (C. d. n.)

PTAK RAJSKI.

Jest to śliczny ptak wielkości synogarlicy. Na głowie ma czubek wachlarzowato roztoczony, ułożony z piórek złocisto-żółtych, a pod gardłem pierze koloru zielonego jakby ze szmaragdów ułożone. Reszta jego niewielkiej postaci jest ciemno-brunatna, dziób i nogi błękitnawe, a ogon dwa razy dłuższy od samego ptaka. Przemieszkuje jedynie w nowej Gwinei i na przyległych jej wyspach, a że szczególniej pierze jego prześlicznie odbijają, gdy oświetlają je promienie słońca, jakby wiedział o tem siada zwykle na najwyższych wierzchołkach drzew i tam kręcąc się i pusząc, wydaje krzyk chrapliwy.

To zachwycanie się swoją pięknością bywa dla niego niezmiernie zgubne. Wydaje bowiem miejsce w którem się znajduje, a tym sposobem zwabia polującego myśliwca. W prawdzie jak usłyszy szmer około siebie, milknie zaraz i przyczaja się, ale na nic się to już zdać nie może, bo myśliwy póty śledzi i wypatruje, aż go wypatrzywszy celnym strzałem zabija.

Panienki a często chłopczyki słyszą nieraz, jak starsi ubrawszy je w nowe sukienki, chwalą że ładni, że ślicznie wyglądają. Zapewne, że każdy kiedy się przystroi, wygląda ładniej niż niedbaluch i nieporządny, ale nie trzeba myśleć, że się już jest z pewnością pięknym, skoro starsi chwalą. Dla starszych każde dziecko jest ładne, które zachowuje się grzecznie i nie jest naprzykrzonem. Wreszcie uroda jak woda płynie i zginie, rozum zaś w głowie nawet z brzydkiego robi pięknego, a wiecie dla czego? Bo upiększa duszę, która przegląda przez oczy i twarz każdego człowieka: piękny więc w sobie będzie pięknym i powierzchownie i w tej piękności zawsze pozostanie. Taką piękność każdy może posiadać przez dobrą i pilną naukę.

Ptak rajski pięknym jest tylko powierzchownie: w główce jego choć ładnej straszne pustki, tak że się niczem szczególnem nie wyróżnia od innych ptaków. Najwięcej przebywają one w gąszczach leśnych i tam można je spotykać w małych stadach po kilkanaście sztuk obejmujących. Jeżeli



Ptak rajski.

zaś wyruszają w pola, to zawsze kierują się pod wiatr, aby ten przyciskał im pierze i nie targał je i nie rozpraszał. W czasie zaś burzy kryją się w największe gąszcze leśne, bo przeczuwają, że wicher mógłby ich porwać jak suchy liść i rozbić o ziemię albo drzewo. Jeżeli jednak jaki drapieżny ptak zbliża się ku nim w zamiarze przekonania się, czy mięso mają tak smaczne jak piękne pierze, wówczas śmiało występują w swej obronie i nieraz napastnika dobrze kolną dziobem zmuszając do ucieczki.

Ptaki te jedynie chwytają dotąd w celu przystrajania kapeluszy ich pięknemi piórami. W dawnych bardzo czasach, kiedy ludzie mało zaprzątali się nauką i tym sposobem byli więcej łatwowierni, powiadano, że rajskie ptaki zamieszkują takie kraje, w których nigdy burze nie rozwiewają ich delikatnego pierza, i bujając w czystem balsamicznem powietrzu, żyją rosą i karmią się chłodzącym wietrzykiem. Że zaś wszystkie pióra w skrzydłach i w ogonie roztaczać mogą na wszystkie strony jak promienie koła, przeto ciągle utrzymując się w powietrzu nie mają nóg, bo te im są zupełnie niepotrzebne. Kraina taka nie mogła być czem innem jak tylko rajem, danym przez Boga pierwszym naszym rodzicom Adamowi i Ewie, i dla tego ptaki te nazwano rajskiemi. Przekonano się jednak wkrótce, że to było wszystko bajką wymyśloną przez handlarzy, aby większą nadać wartość swemu towarowi, że ptaków rajskich jest ośm gatunków, i że te żywią się nie rosą ani wiatrem, ale jak inne ptaki do nich podobne owadami, owocami i nasionami różnych roślin. Co do nóg te im umyślnie ucinano po zabiciu, aby łatwiej było je przewozić, ale nie przyznawano się do tego, aby zadziwiać kupujących, że są ptaki na świecie, co nóg nie mają.

Między ludźmi, którzy mało się uczą a niewiele czytają, podobnych bajek wiele krąży opowiadanych za największą prawdę, ale temu nie wierzcie ślepo i zawsze proście o objaśnienie waszych rodziców albo osób starszych. To was ustrzeże od śmieszności, gdybyście bajkę jaką powtórzyli, i nauczy fałsz odróżniać od prawdy.

ZAJĄC i NIEDZWIEDŹ.

BAJKA.

Fr. Morawskiego.

Nie tylko ludzi łączy zapał święty,
I między zwierzęty
Bywa przyjaźń gorąca.
Dziwnym trafem, niedźwiedź bury,
Nadzwyczaj czuły z natury,
Tak się przywiązał mocno do zająca,
Zając do niego nawzajem,
Że ich przyjaźń nazywano wzorem:
Był to Pollux z Kastorem.
Cóż, kiedy Pollux strasznym był mazgajem,
Ilekroć z swoim zapałem wyjedzie,
Ilekroć swoje uczucia niedźwiedzie
W zajęcze serce chciał przelewać tkliwie,
Zawsze go osapał,
Odrapał,
Zawsze nasz zając skrzeczał przeraźliwie;
Lecz nie tu koniec jego smutnej doli,
Bo gdy raz w cieniu topoli
O wspólnym rozmawiali losie,
A o marnościach świata rozmyślając,
Zdrzymał się zając,
I mucha siadła mu na nosie.
Niedźwiedź każdej pory,
Do przysługi skory,
Nagle się porywa;
Straszliwie zaczął się dąsać:
— Tak mi mojego przyjaciela kąsać!
Oj czekaj gadzino złośliwa,
Nie wiesz czem to pachnie.
Jak się obsadzi, jak machnie,
Tak ją dobrze zagrabił,
Że razem muchę i zająca zabił.

Każdy, kto w przyjaźń nierozważną wchodzi,
Nudy i biedę pewno sobie kupi;
Mądry przeciwnik często mniej zaszkodzi,
Niźli przyjaciel serdeczny a głupi.

Dla czego człowiek jeść musi?

Słyszycie zapewne często prowadzone rozmowy przez osoby starsze o ciężkich teraźniejszych czasach, o drogości wszelkich produktów do życia, o wielkim nieurodzaju zeszłorocznym, skutkiem którego w wielu krajach ludzie tysiącami umierają z głodu, jak to obecnie szczególniej ma miejsce w całej Algierji pomiędzy Arabami, w części Afryki położonej przy morzu Śródziemnem a należącej do Francji. Mając za staraniem rodziców zaopatrzone wszystkie potrzeby, odbierając dowody tej opieki w codziennym pokarmie, dostarczanym przy śniadaniu, obiedzie i wieczornym posiłku, nie macie nawet pojęcia jak to można umrzeć z głodu. Nie jeden z was pomyśli sobie zapewne, że jeżeli kogo nie stać na mięso, lub potrawy z delikatnej przysposobione mąki, na masło, słoninę, sadło, wreszcie olej, to można się najadać ziemniakami z solą, chlebem razowym, kapustą, różnemi warzywami, które jakkolwiek nie będą stanowić posiłku bardzo przyjemnego, zawsze jednak obronić zdołają od głodnej śmierci, jakiej cierpienia i boleści żadna inna przykrość fizyczna nie dorównywa. — Wreszcie powiecie sobie może: że umrzeć z głodu, jest to nic nie jeść, a niepodobna przypuścić aby w kraju tak żyżnym i położonym w strefie tak sprzyjającej wszelkiej roślinności, nie znalazło się różnych innych pokarmów, choć nie bardzo smacznych, zdolnych jednak przy-

najmniej do utrzymania ludzi przy życiu. Jakże więc mogą ludzie umierać z głodu?

Tak jednak jest na nieszczęście, i choć biedacy ratują się jak mogą, choć zjadają rozmaite produkta roślinne, jakich przedtem nie spożywali, chociaż się niemi nawet opychają, umierają jednak z niczego innego, tylko z braku pokarmu, czyli właściwie powiedziawszy z głodu. — Że pokarm ten jakim się żywią przynosi im pewien posiłek, najlepszym tego dowodem, że śmierć ta głodowa następuje u nich dopiero po kilku miesiącach, gdy człowiek zupełnie pokarmu pozbawiony, najwyżej ośm dni głód wytrzymuje i potem umiera. Zbadanie przyczyny tego nieszczęścia biednych ludzi będzie dla was z wielkim pożytkiem. Ono bowiem dowodnie was przekona, jak wielką jest troskliwość waszych rodziców, jak drogocenna opieka, narażająca ich na tyle trudów i zmartwień, jakie ponoszą w celu zaopatrzenia was we wszystkie niezbędne potrzeby: jak powinniście im być wdzięczni za to, jak ich winniście kochać i szanować i jak źle robicie grymasząc w jedzeniu, często marnując to, co dla wielu stanowiłoby bardzo posilny pokarm. Z badania tego wreszcie poznacie, jak należy szanować zdrowie waszego ciała, niszczone często zbytniem objadaniem się i nadużyciami różnego rodzaju, co poznać winniście właśnie w porze waszej młodości, żeby ustrzedz się złego bardzo dokuczliwego w późniejszym wieku. Poczciwe nasze przysłowie powiada:

„*Grzechy młodości*,
Karze Bóg na stare kości,“

i powiada bardzo mądrze, bo jaki zasiew taki plon, a młodość właśnie jest porą zasiewu, żeby ciało nasze rosło w zdrowie i siły, a dusza i serce w rozum i szlachetność. Kto o takim zasiewie zapomina, gotuje sobie nędzę ciała i duszy, bo:

„*Jaka praca w młodości*
Taka płaca w starości.“

Spojrzawszy po świecie, łatwo poznacie, że wszystko co nam podpada pod oczy, albo jest martwem albo żyjącem. — Kamienie, głazy, skały, różne kopalne minerały i t. p. wszystko to są rzeczy martwe, bo jak przez Boga zostały stworzone, tak przez tysiące lat zostają bez zmiany, nie rosną ani przekształcają się, tylko wiecznie pozostają w jednym stanie nieczułości. Można je jak n. p. kamienie polne rozbić, pokłady skaliste wydobyć i oddzielić od całej ich masy, mimo tego kamień i głaz zostaną zawsze tem czem były. Inaczej się zupełnie ma z całym światem roślinnym i zwierzęcym.

Rośliny w zimie jedne nikną, drugie jakby uśpione stoją smutnie ogołocone z liści, za nastaniem jednak ciepłej pory, trawniki, krzewy, drzewa pokrywają się cudowną zielenią, wypuszczają pączki, liście, kwiaty, wydają rozliczne owoce i nasiona i znów usypiają na zimę, jakby dla nabrania sił do nowej pracy i nowego życia. — Nadto roślina każda ścięta, lub uszkodzona zbytecznie, usycha czyli obumiera, każdą można zasiewać lub przesadzać i wtenczas widzimy: jak kiełkuje, rozwija się, rośnie, dojrzewa i usycha. Widocznie więc rośliny żyją, czasem przez lato tylko, i czasem po kilka lub kilkanaście wieków, ale zawsze rodzą się i giną.

Ze wszystkiemi tworami zwierzęcemi, nie wyłączając ludzi, to samo zupełnie się dzieje co z roślinami, i dla tego nazywamy je istotami żyjącemi jako niezmiernie odmiennemi od całej martwej przyrody. — Żeby jednak to życie utrzymywało się, żeby tak roślina, jak zwierz lub człowiek należycie mogły się wykształcić, koniecznie potrzebują pobierać odpowiedni pokarm, bo od niego jedynie byt ich ziemski zależy.

W młodości, mówiąc jedynie o człowieku, potrzeba tego pokarmu jest większą jak w późniejszych latach, bo młodzieniec musi jeść nie tylko dla utrzymania swego życia, ale i dla utworzenia całej swej budowy cielesnej, wszystkich kości, muszkułów, tkanek, słowem dla wyrośnięcia w dojrzałego męża.

Ale w tem miejscu zapytacie zapewne, dla czego konieczność jedzenia nie ustaje w człowieku w późniejszych latach? — Dla czego człowiek choć rość przestanie, choć utrzymuje się potem w jednej mierze co do swego wzrostu i tuszy, jednak jeść musi do późnej starości, nawet do najpóźniejszej, choćby stuletniej? — Przecież, powiecie zapewne, kiedy już cała budowa człowieka ukończoną została, co do jego kości, muszkułów, tkanek, mięsa, chrząstek i t. d., to pokarm już zupełnie nie jest potrzebny. W budynku raz ukończonym, kończy się także wszelka dalsza fabrykacja, człowiek jest także pewnym rodzajem budynku, dla czegoż więc ta fabrykacja w nim nie ma końca, skoro zmuszony jest ciągle pobierać materjały do jej prowadzenia?

Pytania te bardzo zasadne; prawda, że budowa człowieka z dojściem do wieku dojrzałego jest zupełnie ukończona, i nic w niej nie brakuje, ale nie zapominajcie, że jest dokonana z materjałów ulegających zniszczeniu, i że to niszczenie jej odbywa się bez przerwy, ciągle, dniem i nocą.

Wszelka bowiem czynność nasza, czy to fizyczna czy umysłowa odbywa się za pomocą pewnych

jakby narzędzi, działających w człowieku wedle woli naszej duszy. Narzędzia te jak w warsztacie każdego rzemieślnika zużywają się, z tą tylko różnicą, że gdy w rzemiośle choć za każdem użyciem tracą na swej wartości, nie prędko nowemi bywają zastąpione, w człowieku ciągle w jednym i jak najlepszym znajdować się muszą stanie, bo inaczej przestają być czynnemi, a przynajmniej obowiązków swych nie wypełniają należycie. W wypadku podobnym powiadamy, że człowiek jest chory i staramy się wszelkiemi sposobami czynność jego organizmu przywrócić do właściwego stanu, czyli do stanu zdrowia. Że zaś to niszczenie czyli zużywanie ludzkiego organizmu odbywa się ciągle, dniem i nocą, we śnie i przy pracy, i choćby na najmniejszą nie ustaje chwilę, więc i zastępowanie zużytych cząstek nowemi także ciągle musi następować. Żeby więc ta wymiana części zużytych na nowe bez żadnej przerwy miała miejsce, człowiek musi jeść, czyli pobierać materje potrzebne do odbywania tej wymiany, żeby zaś mógł ten pokarm przerobić w sobie na właściwe cele, musi w sobie utrzymywać odpowiedni stopień ciepła, które także wymaga dostarczania odpowiednich materjałów.

Dopóki więc człowiek tylko żyje, jeść musi i utrata chęci do jadła najpierwszą jest oznaką choroby, czyli niemożności wymieniania części zużytych na nowe. — W stanie zdrowym zmniejszenie się tych materjałów potrzebnych do ciągłej budowy człowieka objawia się przez uczucie głodu, pobranie zaś ich w dostatecznej ilości przez nasycenie. — Jak więc człowiek obowiązany jest głód swój zaspakajać i szkodzi zdrowiu swemu zbytecznem głodzeniem się, tak równie źle robi za wielkiem objadaniem się. I w pierwszym i w drugim razie grzeszy, bo zdrowiu swemu przynosi szkodę, które winien zachowywać z umiarkowaniem.

Żeby lokomotywa dobrze wypełniała swoją posługę na kolejach żelaznych, musi zużywać tyle wody i paliwa ile rzeczywiście potrzebuje. Jeżeli jej dostarczymy za mało tych materjałów, nie będzie mogła być czynną; jeżeli za wiele, ulegnie zepsuciu, albo cała rozleci się w kawałki. Z człowiekiem także coś podobnego się dzieje: głodzenie zmniejsza czynność jego organizmu, zbyteczne opychanie się wyczerpuje jego siły i w pierwszym więc i drugim razie szkoda dzieje się widoczna, która ciągle jednemi powodami powtarzana, w końcu sprowadza chorobę i do wczesnej w pośród największych cierpień doprowadza śmierci. O głód jestem spokojny, pod tym względem przy opiece jaką jesteście otoczeni, z pewnością krzywdy sobie nie zrobicie, ale szkodzić sobie możecie objadaniem się zbytecznem i na to szczególną zwrócić winniście baczność. — Przedewszystkiem miejcie na pamięci: że człowiek nie na to żyje żeby jadł, tylko dla tego je żeby żył, tak zupełnie jak lokomotywa, którą nie dla tego wyrabiają w fabrykach z tak wielkim kosztem, żeby w niej utrzymywać ogień i wodę zamieniać na parę, tylko żeby zyskiwała siłę dla pożytku ludzkiego. — Człowiek życiem obdarzony ma także cel swego bytu, żeby nauką kształcił serce i rozum i poznawaniem tajemnic Boskich zbliżał się do swego Stwórcy i Pana, że zaś jest z materji utworzonym, musi więc całą budowę swoją utrzymywać w stanie działalności, czego dopełnia przez pobieranie stosownej ilości pokarmu. Jedzenie więc jest tu rzeczą choć konieczną ale podrzędną, a pierwszą dążenie życiem do uzacniania i uszlachetniania się moralnego, do przynoszenia pracą swą pożytku dla siebie i dla całej ludzkości. — Nawet zwierz nie żyje dla tego żeby jadł, tylko żeby przynosił z siebie pożytek, czyż więc człowiek ma być gorszym od zwierzęcia? — Starać się, żeby pokarm był zdrowy, smaczny i w dostatecznej ilości, jest naszym obowiązkiem; ale starania te posuwać do przesady, zaprzątać się zbytecznie przysmaczkami i ciągłem opychaniem, jest wielkiem złem, przeciwnem naturze człowieka.

Jak pokarm przerabia się w człowieku, jak żywi ciało i jakiej powinien być natury, żeby tego należycie dopełniał, opowiem wam w następnych artykułach.

Pieszczoty Matki.

O! jeśli jeszcze ręka matczyna
Z tobą dziecino się pieści,
To świat ten dla cię rajska kraina,
Bo nie znasz trosk i boleści!
O! módl się szczerze w wieczór i z rana
Gorącą prośbą tej treści:
„Niech żyje długo matka kochana,
Niech długo ze mną się pieści.“
W jednem spojrzeniu, w jednym uścisku,
Masz teraz więcej słodkiego,
Niż później życie w ułudnym błysku
Da ci dziecino dobrego.
Przyjdą te czasy kiedyś dla ciebie,
Że już nie starczy miłego,
Zapomną ciebie — może sam siebie,
Oprócz uścisku tkliwego.

*

W życiu jak w polu wciąż się kojarzą
Ciernia i kłosy i kwiatki, —
Niech w tym chaosie będzie ci strażą
Wspomnienie miłości matki.

Adam Chodyński.

Myśli i zdania.

Roztrzepanie może stać się nałogiem, jeżeli od młodu nie będziemy się starali być rozważnymi.

Cokolwiek mamy powiedzieć lub zrobić, należy się wprzódy dobrze namyśleć. Rozważny namysł często nas ustrzeże od żalu lub błędu.

Kto traci pieniądze na kupno rzeczy, bez których może się obejść, w krótce zabraknie mu na nabycie rzeczy niezbędnych.

Oszczędnością ludzie i przy małych dochodach przychodzą do zamożności, przez marnotrawstwo zaś z bogatych często się stają nędzarzami.

Nie ten bogaty, co wielki ma majątek, ale ten, co mniej wydaje jak ma dochodu.

Człowiek zazdrosny jest podobny do żelaza, co własną rdzą się trawi.

Przypadek jaki się wydarzył na wakacjach dwom chłopczykom ze szkoły św. Antoniego we Lwowie.

Józio i Karolek chodzili po ogrodzie cioci na wsi, przybywszy do niej na wakacje ze Lwowa.

— Ach! jaka piękna gruszka — zawołał Józio spoglądając na drzewo — muszę ją dostać koniecznie.

— Ja ją wprzódy jeszcze z daleka widziałem — odezwał się Karolek — więc ona do mnie należy, i ja się po nią na drzewo wdrapię, a potem sięgnę po gałęzi.

— Za pozwoleniem, nic z tego, kto pierwszy, ten lepszy.

Rzekłszy to Józio, poskoczył ku drzewu i postawił nogę na sęku, chcąc się po nim wydostać na gruszkę. Karolek ściągnął go i sam zaczął się wspinać. Józio znowu mu przeszkodził i tak ciągle jeden drugiemu stawał na zawadzie.

Przez ten czas ogrodniczek stojący opodal, domyśliwszy się o co im idzie, cichaczem podszedł pod drzewo i tyczką zdjął gruszkę tak przez nich upragnioną.

— O co to paniczom idzie? — zapytał powaśnionych chłopczyków, zajadając smaczną gruszkę.

— Chcę zerwać gruszkę z drzewa — odpowiedział Józio — bo ja pierwszy ją dojrzałem.

— Ja pierwszy ją zobaczyłem — odrzekł Karolek — jak tylko wszedłem do ogrodu.

— Nie kłóćcie się panicze — odezwał się ogrodniczek — bo ja tę gruszkę już dojadam. A smaczna, bardzo smaczna. Chłopczyki oniemieli, a ogrodniczek rozśmiał się i odchodząc rzekł z szyderstwem:

— Tak kłótnikom zawsze bywa. Chłopczyki pobiegli do cioci na skargę, a ta im rzekła:

— Na siebie powinniście narzekać a nie na ogrodniczka. Gdybyście nie byli łakomi a zgodni, tobyście się nie sprzeczali, który gruszkę pierwszy zobaczył, tylko byście powiedzieli, zerwijmy gruszkę a potem podzielimy się nią po połowie. Tym sposobem gruszka byłaby wasza i ogrodniczek nie byłby jej dostał. Że zaś was wyszydził, to miał słuszność, bo kłótnia nigdy do dobrego nie prowadzi i zawsze kłótnikom przynosi szkodę.

O tej przygodzie Józia i Karolka dowiedziałem się z listu cioci, która donosząc mi o tem, zarazem prosiła, bym jako nauczyciel jej siostrzeńców pilną zwracał uwagę na ich niektóre złe skłonności. O wielu wadach Józia i Karolka, n. p. iż lubią skarzyć na swych współuczniów, iż walają książki i skryptury, iż wydrzyźniają się innym itd. wiedziałem już pierwej, ale o niezgodzie braterskiej teraz dopiero się dowiedziawszy, będę się starał takową wykorzenić, bo niezgoda i kłótliwość są bardzo złemi przywarami, i bardzo często stają się powodem innych złych czynów, a często i zbrodni.

Rozmaitości.

Ruiny starożytnego miasta w Meksyku.

Nie małą uwagę zwróciło w Ameryce odkrycie ruin wielkiego miasta meksykańskiego, o którego istnieniu archiwa meksykańskie żadnej nie za-

chowały wzmianki. Odkrycie to zrobił były jenerał konfederacyjny Zyon, w Stanie Vera-Cruz. Ruiny te są w okolicy, którą Indjanie zowią Metaltaloyala i położone są na sto około mil angielskich na zachód od Tuspan. Indjanie usilnie się starali odradzać podróżowania w tej stronie, wystawiając ją jako zamieszkałą przez olbrzymów i potwory! Wkrótce też napotkano tam mnóstwo wilków i owady nieznane a uprzykrzone. Według opowiadania podróżników, odkryte miasto musiało być wielkie i świetne. Z wielu domów stały jeszcze mury, malowidłami ozdobione; znaleziono także liczne świątynie, a w jednej z nich posążek z krzyżem. Drzwi domów były po największej części zatarasowane głazami ze skał. Te i inne jeszcze znaki zdają się wskazywać, że miasto to mieszkańcy opuścili rozmyślnie. Ile z tych wszystkich opowiadań policzyć można na karb przesady, w którą, jak wiadomo, wpadają zwykle odkrywający, późniejszemu czasowi zostawić wypada.

Afrykański monarcha i jego synowie.

Mossesz, król Kafrów, chodzi jak poddani jego, po największej części na wpół nago, okryty skórą wołową, lub lamparcią, i tylko przy nadzwyczajnych uroczystościach wdziewa na się surdut czerwony, szarawary niebieskie ze złotym lampasem, białą czapeczkę w rodzaju szlafmycy, której brudne końce wyglądają jak gdyby zawstydzone z pod francuskiego kapelusza i szary aż do kolan sięgający płaszcz, podobny do tych, jakie u nas zwykle noszą stangreci. Pałacem jego jest pięć stóp wysoka, cztery stopy szeroka chatka, podobna bardzo do ula. Mossesz zwykł namaszczać codzień ciało, używaną powszechnie pomadą, z tłustości i ziemi czerwonej. Spotykając nieraz na dworze swym misjonarzy, nabył on nieco wiadomości historycznych. Misjonarze donosili przed kilku laty o nawróceniu się dwóch jego synów; ale myśl nawrócenia przejmuje go takim wstrętem do cywilizacji europejskiej, iż żadne namowy nie są zdolne poruszyć go.

Murzyni.

Od czasu ukończenia wojny w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej i nadania Murzynom wolności i praw obywatelskich, czarna ta ludność niezmiernie garnie się do nauki. — Nietylko bowiem dzieci wszystkie posełają do szkółek i wyższych naukowych zakładów, ale zakładają drukarnie, księgarnie i wydają coraz nowsze pisma perjodyczne wyłącznie dla samych Murzynów przeznaczone. I tak wychodzący w San Francisko pod redakcją Murzyna dziennik „Dźwignia" odbija 2.300 egzemplarzy: drugi „Słowa pokoju" 1.800 również pod czarną redakcją. Wydawana w Nowym Orleanie gazeta codzienna „Trybuna" wyłącznie przez Murzynów redagowana, odbija 100.000 egzemplarzy. — Oprócz tego w Baltimorze wychodzi „Wierny Komisant", w Nowym Yorku dwa pisma, w Filadelfji „Pamiętnik chrześciański" mający 500 prenumeratorów. — Są to tylko pisma główniejsze, mniejszych jest znacznie więcej, niemal w każdem mieście większym. — Pisma te nietylko że są redagowane i drukowane przez czarnych, ale co ważniejsza, iż jedynie przez nich są prenumerowane. Wychodzi także i „Przyjaciel Dzieci" w New-Jorku i liczy przeszło 3.000 prenumeratorów.

Oświata w Japonji.

Chęć nauki tak tam wzrasta pomiędzy nawet najbiedniejszą klasą ludności, że rząd idąc w pomoc tej szlachetnej dążności, zapisał z Ameryki 25.000 tomów różnych książek elementarnych, i zobowiązał się corocznie dzieła podobne dostarczać. W Chinach także coraz się bardziej rozszerzaniem oświaty zajmują, to samo w Indjach, dość że ruch w tym kierunku ogarnia koleją wszystkie społeczności.

Przemysł w Kalifornji.

Ludność w Kalifornji, w miarę zmniejszania się złota, zaczyna zajmować się gospodarstwem rolnem, tak dalece, że obecnie z San-Francisco wywożą do New-Yorku, Australji i Anglji znakomite ilości zboża.

Podobny postęp zrobiła tamże w ostatnich czasach hodowla bydła, a szczególniej owiec. W roku 1857 otrzymywano tam zaledwie miljon funtów wełny, a w r. 1861 cyfra ta powiększoną została już do $4^1/_2$ miljonów.

W tymże roku sprzedano na użytek osad okrętowych i poszukiwaczom złota 100.000 cetnarów wieprzowiny solonej.

Przemysł winny także wzrasta; na potrzebę miejscową wystarcza wino z tamecznych winnic, jakkolwiek nie odznacza się ono jeszcze zupełną dobrocią.

Zadanie do wyrachowania.

Dwaj pastuszkowie Maciej i Pawełek powracając wieczorem ze swoją maleńką trzodką, spotkali się z sobą i zaczęli rozmawiać. Maciej spojrzawszy na owce Pawła, rzekł: Wiesz Pawle co mi przyszło do głowy? Oto żebyś mi oddał jedną z twoich owiec, to moja trzoda będzie dwa razy większą od twojej. Paweł podrapał się w głowę, popatrzył na owce i po krótkim namyśle odpowiedział: Nie Macieju, to będzie niesprawiedliwie, ty oddaj mi jedną z twoich

owiec, to będziemy mieli po równo i nie będziemy sobie zazdrościli.

Obliczcież, ile każdy z nich miał owiec?

Zagadka.

Pierwsza z pierwszą, mój kochanku!
Jej zawdzięczasz twoje życie;
Ona też to w życia ranku
Strzeże ciebie, moje dziecię!

Tę opiekę i tę troskę
Również *druga z drugą* spełnia,
Ona *pierwszą z pierwszą* zgłoskę
Lepiej tylko uzupełnia.
Pierwsza znów, gdy *z drugą* w parze,
Oraz nam i całość daje,
Co dokładnie w ich obszarze,
Nam przedstawia różne kraje.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 2

Pol + ka.

Dzieła dla Młodzieży

NAKŁADOWE i KOMISOWE

księgarni **Karola Wilda** we Lwowie.

Becker, K. F. *Oblężenie Troi.* Opowiadanie z dziejów starożytnych dla młodzieży. Wolny przekład z niemieckiego, z 5ciu miedziorytami, kartonowane, 334 str. w 8ce 1867 r., cena zniżona . . . . . 1 złr. 20 ct.

— *Powrót Ulisesa* do Itaki. Opowiadanie z dziejów starożytnych dla młodzieży. Wolny przekład z niemieckiego, z 5ciu miedziorytami, kartonowane, 284 str. w 8ce, 1868 r., cena zniżona . . . . . . 1 złr. 20 ct.

Belza, Wł. *Złote literki.* Nowa książeczka dla dzieci z ryciną, w ozdobną okładkę kartonowane, 84 str. w 16ce. Lwów, 1872. 64 ct.

Geografia powszechna podług L. E. K. *Gaultier.* Wydanie **6te** na nowo przejrzane i poprawione, z uwzględnieniem najnowszych zmian politycznych i do użytku niższych zakładów naukowych polskich prywatnych i publicznych zastosowane przez L. T. z mapką kosmograficzną. Lwów, 1872. str. 240 w małej 8ce 90 ct.

Gerstäcker. *Mały obrazek świata* dla małej dziatwy z niemieckiego, skreślił H. Witowski. Z dwiema kolorowo-litografowanemi półkulami ziemi. Lwów. 1859. 16ka (w ozdobną okładkę kartonowane) . . . . . . 1 złr.

Książka do czytania dla dzieci w szkole i w domu, 308 str., 1849. (Z pierwszego wydawnictwa dzieł tanich przez Zakład Ossolińskich rozpoczętego) . . . . . 36 ct.

Nowicki, Prof. Dr. *Zwierzyniec obrazowy*, zastosowany do zoologii tegoż autora. Trzy zeszyty. Zeszyt I. zawiera: „Zwierzęta ssące“. Zeszyt II.: „Płazy, ptaki i ryby“. Zeszyt III.: „Bezkręgowe zwierzęta“. Cena jednego zeszytu . . . . . 1 złr. 25 ct.

Olpiński, Filip. *Praktyczna gramatyka* języka polskiego. Lwów, 1872. str. 150. 8ka 80 ct.

— *Praktyczna nauka ortografii* polskiej, zastosowana do potrzeb szkół ludowych. Lwów, 1872. str. 62. . . . . . . 30 ct.

Stanecki, Tomasz. Dr. *Fizyka* dla użytku szkół średnich, część I. z 58 figurami w tekscie. Lwów, 1871. str. 131. . . . 90 ct.

Zawadzki, Władysław. *Grody polskie.* Opis historyczny dla dorastającej młodzieży. Z 6ma kolorowo-litografowanemi rycinami w ozdobnej alegorycznej okładce pomysłu Macewicza, kartonowane, 285 str., w 8ce, 1866. cena zniżona . . . . . 1 złr. 60 ct.

Opiekun dzieci naszych roczniki od I do IX razem zbroszurowane, cena zniżona . . 16 złr.

Aleksander Kisielewski:

Z Krakowa do Gdańska Wisłą. I część, 20 obrazków . . . . 30 ct.
II. część 50 ct.

Porzecze Wisły. 20 obrazków . . 50 ct.

Przechadzki po polu i ogrodzie 3 części 140 obrazków . . 1 złr. 15 ct.

Palestyna i jej św. pamiątki, oprawna z 16 obrazkami i mapą . . . 55 ct.

Próżność ukarana. Komedyjka dla dzieci 20 ct.

Imieniny Taty. Komedyjka dla dzieci 20 ct.

Wszystkie te książki można zamawiać w administracji Opiekuna dzieci Nr. 39¹/₄

Z drukarni Kornela Pillera. Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Aleksander Kisielewski.